

Łudziłem się nadzieją, że dowiem się czegoś więcej. Wierzyłem w to, że ta garść informacji, którą mi przekazywała z tak wielkim skąpstwem przez całe moje dzieciństwo, nagle się roztworzy. Chciałem ją poznać, chciałem móc doświadczyć za sprawą jej historii, wszystkiego tego, co stało się i jej udziałem. Dziś myślę, że moja mania przepytывania ludzi, poznawania ich od przysłowiowej podszewki wzięła się właśnie z tamtego okresu. Rajmund, Wiesława, Mieczysław ... wszystkich w mniejszym lub większym stopniu namówiłem do mówienia; swoimi zachętami, długim nagabywaniem, a często tylko tym, że słuchałem, gdy oni tego potrzebowali. Na bazie obcych żywotów, dziejów innych ludzi budowałem swoje własne życie; okraszałem je postaciami, dodawałem szczyptę humoru i akcji, by w końcu powstała historia nader nieprawdziwa i zmyślona. I choć wkładałem w to całe swoje serce, moje badania okazywały się zbędne i bezsensowne. Tylko ona mogła mi powiedzieć, co tak naprawdę się stało. Tylko ona mogła mi zdradzić, dlaczego była takim człowiekiem, dlaczego zmieniała się w szmaciany worek. Modliłem się, by choć szeptem, pomrukiem, skinieniem, rozwiała moje wątpliwości; bym mógł odkryć prawdę, bym dowiedział się dlaczego za życia zabiła własne dziecko.

Moja matka, Cecylia, była ... skałą.

I ja jestem skałą; szczególnie teraz....

... Rankiem ponownie zasiedliśmy do wspólnego posiłku. I tym razem prowadziła ze mną chaotyczną pogawędkę, raz prosząc o wybaczenie, to znów żądając tego, bym natychmiast wrócił do domu, do jej domu. Wpatrując się w talerz i próbując skupić uwagę na dwóch sadzonych jajach, słuchałem i milczałem. Z każdym słowem wypowiedzanym w tak charakterystyczny dla niej, słodko-mdlący sposób, oddalaliśmy się od siebie. Wciąż miałem w pamięci nocne igraszki. Godzina ósma rano to był jeszcze ten czas, gdy hormony posiadały władzę nad umysłem. Gdyby tylko zamilkła, a służba, szczególnie pani Zosia, przestałaby strzyc na korytarzach uszami, zdarłbym z niej muślinowy kostium i przerzuciwszy ją przez ramię niczym szmacianą lalkę, pognałbym do owej sypialni, gdzie nasza zażyłość osiągnęła ostatniej nocy wyższy stopień wtajemniczenia. Nie zamilkła jednak, służba nie opuściła swego detektywistycznego posterunku, a i moja żądza z sekundy na sekundę stawała się coraz mniejsza. W pewnym momencie pozwoliłem sobie na nią spojrzeć i właśnie wtedy, kiedy to lędźwie przestały wydawać rozkazy, uświadomiłem sobie, że ta irytująca kobieta potrzebuje nie syna, lecz zbiornika spermy, którą to, odpowiednio dobrany dozownik, wlewać będzie w czeluść nigdy niezaspokojonej pochwy. Wstałem i już miałem wyjść, gdy poczułem na policzku falę gorąca. Siarczyste uderzenie niemal zważyło mnie z nóg. Raz jeszcze usiadłem i trzymając prawą dłoń przy bolącym miejscu, pozwoliłem, by mówiła dalej. Cukierkowy ton zniknął bezpowrotnie, jako zamiennik, z gardła rozszłoszczonej już matki wydobył się jazgot, od którego tak bardzo w dzieciństwie starałem się uciec.

- Nie odchódź jeśli do ciebie mówię! - Odetchnęła gwałtownie, lecz był to zaledwie sekundowy antrakt w spektaklu złości. Palcem wskazującym, na którym pozostał jeszcze ślad po dawno wyrzuconej obrączce, dźgnęła mnie w pierś. - Wracasz ze mną do domu! Zorganizowałam nam powrót. Spakuj się!

Patrzyłem na nią z mieszaniną pokory i złości. Złość pozostawała jednak uczuciem drugorzędnym. Wiedziałem, że jakikolwiek sprzeciw akurat w tym momencie, gdy żyły na jej szyi zdążyły już nabrznieć falą gniewu, a źrenice zwężyły się, by jeszcze baczniej móc przyglądać się mym ruchom, jest wyrokiem śmierci. Podobnie jak erotyczne uniesienie wcześniej, z którego lubieżnych ramion wyswobodziłem się zaledwie przed kilkoma minutami, tak teraz strach zajął miejsce za sterami mej woli. Już nie siedziałem. Cecylia również wstała, oderwała plecy od bogato zdobionego oparcia krzesła, po czym, dumnie

wyprężywszy pierś, zakreśliła ręką młynek w kierunku schodów, niczym szykujące się do pierwszego w swym życiu lotu, wciąż nieopierzone, pisklę. Takie porównanie nie pasowało jednak do osoby jej pokroju. Kiedy bowiem czegoś chciała, zawsze to otrzymywała. Nawet, jeśli wiązało się to z wytoczeniem przeciw oponentowi najcięższego z dział. Zrobiła to i tym razem. W jednej chwili maska apodyktyczności opadła odkrywając przede mną, takie przynajmniej odniosłem wrażenie, prawdziwe oblicze matki. Raz jeszcze wskazała te kilka stopni schodów, których nie zasłaniała błękitna ściana pokryta ornamentyką wprost z fajansowej zastawy, by następnie uczepiwszy się mego ramienia, zapłakać. Uderzyła mnie dysproporcja jej sylwetki. Wieloletnie kuśtykanie przekrzywiło ciało kobiety na prawą stronę i tak jak zwykle starała się ów mało atrakcyjny szczegół wyglądu zatuszować, tak teraz uczyniła go jednym ze swych głównych atutów. Rozpoczęły się utyskiwania, żale, a gdy dotarliśmy już do dębowej poręczy, którą ścisnęła, jakby to była ostatnia deska ratunku, monodram wszedł w decydującą fazę. Wpadła mi w ramiona, nie tak jak robiła to wczorajszego wieczora, bez cienia erotyzmu. Połykając płynące po twarzy łzy, pociągając nosem, przywarła do mojej klatki piersiowej i wtuliwszy się w nią, drżała niczym bezbronne, zastraszone dziecko. Drżała, tak jak drżałem i ja kiedyś, zawodziła, tak jak zawodziłem i ja, kiedy to skórzanym pasem wydzielala mi niezasłużone razy, gdy krzyczała z nienawiścią i ... Zapomniałem o tym. Bolesne wspomnienia odeszły zakryte warstwą naniesionego przez czas kurzu, drogę do nich przegrodziła zwarta pajęcza sieć. I tym razem wygrała. Aktorskim geniuszem, który ja, z infantylną wręcz nadzieją pomyliłem z przeblyskiem jej prawdziwej osobowości, bez zbędnych krzyków i rozkazów przekonała mnie do tego, bym spakował swój bagaż i tak jak sobie tego życzy, jechał z nią.

Uśmiechnąłem się, gdy dotarliśmy do szczytu schodów. Mogłem ją tutaj postawić. Nie musiałem jej dłużej nieść, skończyły się bowiem nierówności schodów, których bała się z wręcz historycznym lękiem. Jednak nie zrobiłem tego. W zamian, chyba głównie po to, by choć na chwilę ukoić to rozdygotane ciało, złożyłem na policzku matki pocałunek. Pierwszy, prawdziwie synowski pocałunek, bez ukrytego podtekstu, bez lubieżności, bez chęci dokonania czegoś więcej. I ona się uśmiechnęła. I właśnie to, ten promyczek nadziei na powracający dobry humor ostatecznie przekonał mnie do tego, że mogę z nią wrócić, że matka, po kilku latach izolacji, zaczyna się zmieniać. Dorasta na swój własny, dziwaczny sposób do tego, by w szerokim wachlarzu swych ról móc w końcu umieścić rolę matki, by wreszcie móc się nią stać.

Z jaką łatwością dałem się oszukać i tym razem...

Cztery lata. Jak długi jest to okres uświadomiłem sobie dopiero na miejscu. W pałacu, którego upływające lata nie naruszyły, lecz wręcz zdruzgotały. Z samochodu wysiadła jako pierwsza. Ogrom... zmian, obraz tak bardzo licujący z moimi wspomnieniami, zdawał się nie robić na niej żadnego wrażenia, mnie natomiast wprowadził w osłupienie. Otworzywszy drzwi, wysiadła zwinnie niczym zupełnie zdrowa osoba, choć ostatnie dni, w tym i czas podróży minęły nam na odgrywaniu ról rekonwalescentki i będącego na każde jej skinienie sanitariusza. Spod rondla monstualnego, z trudem mieszczącego się w pojeździe kapelusza, zamrugały teraz dwa wypełnione ognikami ślepką. Niemal łobuzerskim uśmiechem zapraszała mnie do opuszczenia auta i podziwiania wraz z nią zapierającego dech w piersiach widoku... trumny. Patrząc na prawe skrzydło budynku, gdzie ojciec miał między innymi swoją bibliotekę, a ona kapliczkę, nie potrafiłem odpowiedzieć, jakim też rodzajem broni dokonano aż takich spustoszeń. Choć zaparkowaliśmy przy fontannie stojącej przed drugim, jeszcze istniejącym skrzydłem matczynego domu, zniszczenia poczynione w tamtej części pałacu były aż nazbyt widoczne. Na wybrukowanym dziedzińcu leżały sterty cegieł. Pomarańczowych i ciemnych, udekorowanych, jakby komuś na górze, w niebie, ów

harmider nie przypadł do gustu, czapkami utkanymi ze zbitych płatków śniegu, nieomal na naszych oczach topniejących za sprawą słońca, buchającego dziwnym, niedopasowanym do tej pory roku, żarem. W skromnych progach matki nic nie było jednak do siebie dopasowane i sam już wkrótce miałem się o tym przekonać. Tak więc z prawego skrzydła, niegdyś piętrowego z galeryjką antycznych postaci dookoła, ocalały jedynie zabudowania parteru, w tym i znajdująca się przy granitowym portalu prowadzącym do parku na tyłach posesji, wypełniona atmosferą modlitewnego uniesienia, kapliczka. Reszta obróciła się w gruz. Ukłucie w żołądku, jego nagły skurcz nastąpił szczególnie wtedy, gdy spostrzegłem balustradę z hebanu, a raczej kawałek drewna wijący się smętną spiralą ku górze, ku bezchmurnemu niebu zimy. Ciemnobrązową, która w latach swej świetności prowadziła gości z szerokiego holu, całego w bieli i amarantowych wykończeniach przywodzących na myśl motywy roślinne, aż do niewysokiej wieży o kopulastym, opalizującym na zielono zwieńczeniu, wznoszącej się jakieś pięć metrów nad zabudowaniami tej części pałacu. Wieża nie przetrwała, podobnie jak i schody. Z nich, z granitowych stopni wzbogacanych holenderskimi kaflami i z balustrady sprowadzanej sam nawet nie wiem skąd, pozostał żałośnie mały fragment skryty pod podłogą pierwszego piętra. Tak bardzo lubiłem tam wchodzić, podziwiać zachodzące słońce i ogrodników, którzy kontynuowali swą niewdzięczną pracę pod moim czujnym, lecz nigdy nie karcącym okiem. Lubiałem się tam bawić, a czasami, kiedy to matka wypływała dziwne oskarżenia pod moim adresem, biegając za mną po całym pałacu i starając się dać mi nauczkę, którą miałem zapamiętać na długo, to właśnie tam chowałem się najczęściej. To właśnie tam znajdowałem upragnioną ciszę po sztormach i burzach, jakie przetaczały się na niższych kondygnacjach budynku. A teraz, już tego nie było...

Wciąż staliśmy przed samochodem, a ona, z rozłożonymi szeroko ramionami, uśmiechała się. Odniosłem wrażenie, iż jest z siebie dumna. Pokazywała mi renesansowy pałac z końca XVI będący diamentem w koronie rodu mego ojca, który przetrwał niemal cztery stulecia, a teraz, w żałośnie krótkim czasie ugiął się pod jarzmem jednej kobiety. Uśmiechała się tak jakby prezentowała mi, swemu jednoosobowemu audytorium, owoce mozolnej pracy, jaką musiała tu wykonać.

- Wprowadziłam kilka zmian! - dodała, biorąc mnie pod rękę i prowadząc ku głównemu wejściu. - Z pewnością przypadną Ci do gustu. Musisz tylko zobaczyć je wszystkie. Niestety nie udało mi się jeszcze skończyć, ale z twoją pomocą te ostatnie poprawki nie zabiorą nawet miesiąca. A potem zamieszkamy w miejsku, o którym zawsze marzyliśmy kochanie.

Aby dać wyraz swej ekscytacji uszczypnęła mnie w policzek palcami wolnej, lewej ręki, po czym raz jeszcze, zatracając się w słowach, zaczęła opowiadać. To nie była część dawno minionej historii, część jej własnej, tak skwapliwie ukrywanej przede mną, historii. Opowiadała o życiu współczesnym i choć miałem nieco inne priorytety związane z opowieściami matki, wysłuchiwałem z prawdziwą uwagą aktualnych doniesień, które każda upływająca minuta wywodu zmieniała w coraz bardziej skomplikowaną mozaikę jej obecnego stanu psychicznego. Stanu będącego wypadową najbardziej niebezpiecznych cech charakteru matki: pragnienia dominacji i żądzy spełnienia.

Dopiero w salonie udało mi się dojść do głosu. Matka przystanęła przy barku i napełniając dwa kryształowe kieliszki winem z karafki, przytknęła szyjkę butelki do pomalowanych warg i pociągnęła łyk tak wielki, iż ze zdziwienia aż otworzyłem usta. Sącząc, a raczej wlewając w siebie alkohol stała odwrócona do mnie plecami i z przekonaniem, że zapewne właśnie w tej chwili kontempluje nowy wystrój urządzonego przez nią salonu, zachowywała się tak jakby nikt poza jej własnym lustrzanym obliczem na nią nie patrzył. Wciąż tam jednak byłem i zignorowawszy nowatorskie podejście do funkcjonalności salonowych mebli, nareszcie zadałem pytanie, które kotłowało mi w głowie już od chwili

opuszczenia samochodu.

- Mamo, co ci strzeliło do głowy?

Ten całkowity brak kurtuazji z mojej strony nieco zbił ją z tropu. Odwróciła się od barku i szybkim krokiem podeszła do czarnej kanapy, na której chwilę wcześniej kazała mi usiąść. Zapomniała o kieliszkach, zapomniała także o woalu grzeszności, jakim ostatnio aż nader często okrywała swą prawdziwą twarz.

- Pokażę ci coś - szepnęła, pociągając mnie za ramię. Wstałem i choć nie miałem ochoty podążać za osuwającą się w odmęty złości matką, zrobiłem to. Po raz kolejny wypełniałem jej polecenie, nie do końca wiedząc, czy winnym tejże decyzji jest mój strach, czy też moja ciekawość. W trakcie tego przemarszu, milczała, przynajmniej starała się to robić. Ja natomiast, wspominając wszystkie jej wcześniejsze słowa dotyczące ostatnich wydarzeń, postanowiłem utkać sieć wspomnień, z nadzieją, iż ten zabieg choć po trosze rozświecili niejasności, jakich było tu bez liku.

Pierwszą cegiełką stworzoną na bazie matczynych słów stanowił jej wyjazd. Podróż, którą odbyła przed czterema laty, dosłownie w chwilę po naszym odejściu, a z której wróciła dopiero po sześciu długich miesiącach. Celem tejże podróży, choć aż trudno było mi z początku w to uwierzyć, była Afryka, a dokładniej samo jej tętniące życiem i porośnięte sawanną, serce. O swych wojażach relacje zdawać zaczęła już przed głównym wejściem. Tak więc całą resztę drogi aż do salonu, gdzie w mało wyszukany sposób zadałem owe pytanie, poświęciła na rozprawianie o dzikich zwierzętach, zapierających dech w piersiach widokach i chmarach czarnoskórych tubylców tańczących niejednokrotnie nie wokół buchającego żarem ogniska, lecz właśnie wokół niej.

Sądziłem, że kłamię. Nigdy nie miała daru do układania spójnych i logicznych historyjek, a ta historia po prostu nie tyle brzmiała mętnie, co wręcz naiwnie. Ukazała w niej obraz Czarnego Lądu i licznych jego mieszkańców w groteskowym ujęciu. Stworzyła coś na wzór mozaiki: o typowo europejskie cechy charakteru, jak również o przypisywane przede wszystkim obywatelom Starego Kontynentu zachowania wzbogaciła rdzenną ludność kraju, ubrała ich w niepasujące ani do tradycji, ani tym bardziej do warunków atmosferycznych stroje, a koniec końców obwołała samą siebie królową jednej z wiosek, aby wprowadzić tam, jak sama stwierdziła, choć namiastkę cywilizacji.

Idąc korytarzem, pozwalając by raz za razem pociągła mnie za rękaw płaszcza i czując jak przez zamknięte drzwi przemyka do wnętrza pałacu chłód zimy, przywoływałem w myślach każde jej wcześniejsze słowo i każde poddawałem szczegółowej analizie, a robiłem to wszystko głównie po to, aby w chwili gdy matka położy dłoń na klamce, z całą stanowczością móc stwierdzić, iż jej opowieść jest jedynie wymysłem udręczonego samotnością umysłu. Nie wierzyłem i nie miałem zamiaru tego robić. Cecylia wymyśliła bzdurę, za pośrednictwem której chciała wytłumaczyć się ze swego postępowania, ze zniszczenia pałacu i odebrania zarówno ojcu, jak i mnie, prawdziwego domu.

Już miałem zamiar przemówić. Przyprzeć ją do muru i wydusić z niej, jeśli byłoby to niezbędne nawet siłą, prawdziwe wytłumaczenia. I Bóg mi świadkiem, że chciałem to zrobić. Tyle, że właśnie wtedy matka otworzyła drzwi prowadzące na usytuowany z tyłu pałacu ogród, a ja dostrzegłem ubranych w surduty, spacerujących między kupkami topniejącego śniegu i czytających, czytających jakieś romansidła, Murzynów. I chyba właśnie wtedy, myśląc sobie, że coś jest tutaj naprawdę bardzo dziwne, zemdląłem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Bajdurzysta, dodano 15.05.2011 09:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.